

KAPUCYNI i MISJE



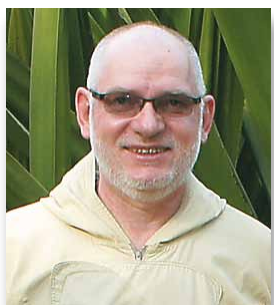
Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2020, nr 2



od lewej stoją misjonarze: br. Robert Wnuk, br. Artur Ziarek, br. Maciej Jabłoński, br. Zenon Kapka, br. Tomasz Świtała, br. Piotr Michalik, br. Robert Wieczorek

*Jubileusz 35-lecia obecności
misjonarzy kapucynów w Afryce*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Podczas tegorocznego urlopu misjonarzy nie przeprowadzaliśmy niedzielnych akcji misyjnych w parafiach. Decyzja zawieszenia tej formy animacji misyjnej w tym roku związana była z sytuacją zagrożenia epidemicznego. Jeżdżąc po Polsce, do różnych parafii, nie chcieliśmy ryzykować zakażenia, a tym bardziej nie chcieliśmy narażać misjonarzy, którzy w październiku planują wrócić do Afryki. Na szczęście wszyscy misjonarze w Afryce i ci przebywający aktualnie w Polsce, są zdrowi. Aby zapoznać Was z aktualną pracą misjonarzy umieszczamy ciekawsze wydarzenia i realizowane projekty na naszych stronach internetowych www.fundacja.kapucyni.pl oraz www.misje.kapucyni.pl a także profilu facebookowym Fundacji. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do śledzenia naszej działalności misyjnej także w takiej formie w internecie.



W połowie września jako Sekretariat Misyjny i Fundacja Kapucyni i Misje obchodziliśmy jubileusz: 35. lecie pracy misyjnej kapucynów z Prowincji Krakowskiej w Republice Środkowoafrykańskiej i 10-lecie istnienia Fundacji. Na to spotkanie jubileuszowe zaprosiliśmy Ministra Prowincjonalnego, radę i pracowników Fundacji, byłych sekretarzy, byłych misjonarzy i misjonarzy aktualnie przebywających na urloпах oraz przedstawicielkę wolontariatu. Spotkanie miało miejsce w Domu Rekolekcyjnym w Tenczynie. Podczas spotkania przedstawiłem sylwetki misjonarzy, którzy w ciągu tych 35. lat ewangelizowali tę część Afryki. W sumie na misjach w RŚA przebywało 29. braci. W ostatnim roku pracowało ich tam jedenastu. Dyrektor Fundacji Diana Bonowicz, która pracuje w niej od początku, przedstawiła prezentację z działalności Fundacji i zrealizowanych projektów. Ogrom pracy Fundacji wykonany w tym dziesięcioleciu znalazł uznanie i wzbudził podziw wśród uczestników spotkania. W samo południe sprawowaliśmy Eucharystię. Dziękowaliśmy Panu Bogu za Jego opiekę i błogosławieństwo, które nam towarzyszy w działalności na rzecz misji. Szczególnie

dziękowaliśmy Bogu za Darczyńców, dzięki którym nasza praca misyjna może się tak pięknie rozwijać. Miłosierdziu Bożemu polecaliśmy zmarłego misjonarza, brata Józefa Lendziona i wszystkich Darczyńców, którzy odeszli z tej ziemi po nagrodę wieczną. Świętowaliśmy także przy stole i przy torcie jubileuszowym. Rozmowy w małych grupach, wspomnienia, opowiadanie ciekawych historii misyjnych trwały do późnych godzin popołudniowych.

W ostatnim Biuletynie Misyjnym mogliśmy przeczytać relację braci Roberta Wieczorka i Augustyna Chwałka z wizyty w Sudanie Południowym. Jeśli będzie wolą Bożą otwarcie przez naszą Prowincję w tym kraju nowej placówki misyjnej, to będziemy starali się ją realizować. Czekamy w tej sprawie na decyzję braci zgromadzonych na Kapitule prowincjalnej (28.09-02.10) oraz Ministra Generalnego. Pragnienie brata Piotra Michalika zmiany kraju misyjnego nareszcie może się zrealizować. Po 27. latach pracy w RŚA, od października będzie pracował z braćmi Prowincji Warszawskiej w Gabonie. Brat Jacek Dębski służył Kustodii Czad – RŚA przez 17 lat. W tym roku wrócił z Afryki i od września podjął pracę w Prowincji Genueskiej we Włoszech. Po wielu latach pracy misyjnej bracia Robert Wnuk i Artur Ziarek poprosili o rok odpoczynku, tzw. rok szabatowy. Będą go przeżywać w Polsce.

Niedawno ukazała się drukiem zapowiadana książka br. Piotra Michalika pt. „Wszyscy tańczą na moście Wantounou” (czyt. Łantunu). Zachęcamy Was do zakupu i lektury tej książki oraz propagowania jej wśród swoich znajomych. W formie wywiadu br. Piotr ciekawie opisuje życie i działalność misyjną w RŚA. Przedstawia też zarys historii tego kraju i sytuację polityczną, szczególnie od roku 1960, w którym ten kraj odzyskał niepodległość.

Jak co roku zapraszamy Was do przysyłania nam imion zmarłych, których będziemy polecać Panu Bogu w modlitwie różańcowej. W listopadzie misjonarz br. Andrzej Barszcz wraz z braćmi nowicjuszami ze wspólnoty w Bimbo będzie odmawiał różaniec wypominkowy i raz w tygodniu sprawował Mszę św. za polecanych zmarłych. Do Biuletynu załączamy kartkę wypominkową. Jednak bardzo prosimy, jeśli to możliwe, o przysyłanie imion zmarłych drogą elektroniczną. Ułatwi nam to wysłanie list z imionami do Afryki.

Składam Wam serdeczne Bóg zapłać za wsparcie naszej działalności misyjnej. Polecamy Was Panu Bogu w naszych modlitwach. Niech Bóg Was strzeże i prowadzi.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



Przysłowia w języku ngambay

pisze br. Piotr Walocha z Bam w Czadzie

Kilka dni temu zbieraliśmy orzeszki ziemne na polu przy naszej misji w Bam. Przyszła do nas pani dyrektor szkoły katolickiej w naszej parafii. Widząc nas przy pracy, zacytowała przysłowie w języku ngambay. Przypomniała mi, że użyłem tego przysłowia w kazaniu w katedrze w Gore kilkanaście lat temu. Ja oczywiście tej homilii nie pamiętałem, a ona to przysłowie pamięta do dziś. To tylko taki mały przykład, jak bardzo są ważne i cenne przysłowia dla ludzi w Afryce.

Podam w niniejszym artykule dwa kolejne przysłowia w języku ngambay z Czadu, wraz z objaśnieniem.

„Ay lel ba, ay ndi bi”

Ay – uciekać
lel – wiatr
ba – najpierw
ndi – deszcz
bi – zanim

Można tak przetłumaczyć to przysłowie: „Uciekaj przed wiatrem, a nie przed deszczem”

Zanim zacznie padać deszcz, wieje mocny wiatr. Jeżeli ktoś jest w drodze i nie chce być przemokniętym, musi szukać schronienia kiedy jeszcze wieje wiatr.

Morał tego przysłowia brzmi: Jeżeli czeka nas jakieś ważne wydarzenie lub zadanie do spełnienia, trzeba się o wiele wcześniej do niego przygotować, nie można zwlekać i czekać do ostatniego momentu.

Przykład: Janek w październiku ma iść do szkoły. Ojciec Janka, już na początku sierpnia, daje synowi pieniądze, aby kupił sobie przybory szkolne. Zdziwiony Janek pyta się taty, dlaczego tak mu się spieszy? Ojciec mu odpowiada, że nie należy czekać do ostatniego dnia, gdyż wtedy może zabraknąć pieniędzy na zakup przyborów do szkoły. I cytuję synowi przysłowie: „Ay lel ba, ay ndi bi”.

„Al kunda daa, a tel kal kororo el”

Al – wsiadać
kunda – koń
daa – stąd
tel kal – wrócić
kororo – osioł
el – negacja

Tłumaczenie: „Kto ma konia za wierzchowca, nie osiodła już osła”

Dla ludzi z grupy etnicznej ngambay, koń jest symbolem wyższego standardu życia, osioł zaś niższego. Osiągnąć po wielu wysiłkach wyższy poziom życia, a następnie powrócić do niższego jest bardzo trudne do zaakceptowania.

Przykład: Pewien człowiek pracował jako kucharz. Następnie został zatrudniony w policji. Trzy lata później traci pracę jako policjant. Przyjaciele radzą mu aby wrócił do zawodu kucharza. On jednak odrzuca te propozycje, mówiąc, że nie będzie już wykonywał pracy o niższym statusie i do kuchni już nie wróci. I cytuję swoim znajomym przysłowie: „Al kunda daa, a tel kal kororo el”.

Z pozdrowieniami z Czadu: br. Piotr Walocha



◀ Zdjęcie po lewej zostało wykonane w Tenczynie podczas Jubileuszu 35-cio lecia obecności w Republice Środkowoafrykańskiej braci kapucynów z Prowincji Krakowskiej. Od lewej stoją: br. Robert Wnuk, Grażyna Zemowska (rada Fundacji Kapucyni i Misje), br. Zenon Kapka, br. Jerzy Ciupak, Diana Bonowicz (Fundacja Kapucyni i Misje), br. Jerzy Steliga, Tadeusz Lewicki (Fundacja Kapucyni i Misje), Anna Wilkońska (wolontariuszka Fundacji Kapucyni i Misje), Minister Prowincjalny br. Tomasz Żak, br. Maciej Jabłoński, br. Tomasz Światała, Dorota Adamska (rada Fundacji Kapucyni i Misje), br. Artur Ziarek, br. Robert Wieczorek. Poniżej od lewej: br. Zbigniew Kołodziejczyk i br. Piotr Michalik.

Owoce tegorocznego „pączkowania”

Předstawiamy Państwu kilka projektów, które już udało się zrealizować naszym misjonarzom. Pieniądże na projekty zbieraliśmy podczas akcji „wyślij pączka do Afryki”, która rozgrywała się przed Wielkim Postem, w okolicy tłustego czwartku.

Powstaje nowy budynek oddziału pediatrii w szpitalu w Ngaoundaye w Republice Środkowoafrykańskiej

Pod koniec pory suchej, w marcu tego roku, br. Maciej Jabłoński rozpoczął budowę pawilonu konsultacyjno-interwencyjnego na terenie oddziału pediatrii powiatowego szpitala w Ngaoundaye. Zwracając się z prośbą do fundacji o przekazanie środków na projekt br. Maciej napisał: „Nasz szpital jest generalnie w opłakanym stanie. Są to głównie negatywne owoce rebelii, która wciąż trawi ten region kraju, dodatkowo ignorowany i opuszczony przez rząd w Bangui. Początkowo skoncentrowałem się na pomocy najmniejszym dzieciom. Razem z dyrekcją szpitala stworzyliśmy centrum leczenia niedożywienia i ostry dyżur pediatryczny, w którym za darmo ratujemy życie maluchów. Wspólnymi siłami wybudowaliśmy kuchnię dla oddziału dzieci niedożywionych i małych pacjentów z pediatrii, tak by można było przygotować posiłki w schludnych warunkach. Dzięki wsparciu Fundacji Kapucyni i Misje udało się nam wyremontować blok operacyjny. Fundacja sfinansowała również pompę działającą na energię elektryczną z paneli fotowoltaicznych i akumulatory, dzięki którym mamy bieżącą wodę w szpitalu. Ale szpital koniecznie potrzebuje nowych inwestycji.

Przed budynkiem pediatrii, codziennie tłoczą się dziesiątki matek z dziećmi. Oczekują na konsultację, które odbywają się w małym pomieszczeniu 5m na 3m. Nie ma poczekalni więc kobiety z dziećmi siedzą przed budynkiem na ziemi, w słońcu, w kurzu, a w porze deszczowej często w deszczu. W pomieszczeniu przeznaczonym do konsultacji wykonuje się także zastrzyki, magazynowane są niektóre leki i specjalistyczna żywność dla dzieci niedożywionych. Znajduje się tam też łóżko dla personelu, bowiem pomieszczenie to pełni również funkcję pomieszczenia socjalnego. Stąd myślimy o postawieniu nowego budynku z dużą werandą, w którym znajdowałyby się poczekalnia, pokój do konsultacji dzieci, gabinet zabiegowy i sala reanimacyjna”.

To dzięki Wam powstaje ten budynek, tak bardzo potrzebny dla chorych dzieci.

Przed wakacjami br. Maciej Jabłoński wybudował szkielec oddziału posadowiony na solidnych fundamentach.

Udało mu się też zakupić potrzebne materiały budowlane na kolejny etap prac. Po wakacjach mury budynku mają być gotowe i zaplanowano położenie dachu. Mamy nadzieję, że terminów uda się dotrzymać i mimo licznych obowiązków br. Maciej będzie mógł dokończyć prace, wyposażyć oddział i świętować otwarcie nowej pediatrii.

Misjonarz br. Paweł Kubiak zamontował kolejną wielką atrakcję na placu zabaw im. Aniołów Stróżów w Bam w Czadzie



Takiego placu zabaw, jaki mają dzieci w parafii Bam, prawdopodobnie nie ma w całym Czadzie. Od kilku lat, br. Paweł Kubiak organizuje bezpieczne miejsce do zabawy dla dzieciaków i młodzieży, którzy przychodzą na katechizację do parafii. Najpierw, codziennie o godzinie 15 odmawiają koronkę do Bożego Miłosierdzia, a potem mogą bawić się na placu zabaw. Są tam nowe nawierzchnie do jazdy na rowerach, boiska do różnych gier, betonowe stoły do ping-ponga, a niedawno dla młodszych dzieci, br. Paweł zainstalował cały kompleks zjeżdżalni, ścianek wspinaczkowych, domków i trapów do przechodzenia.

Temperatury powietrza w Czadzie są bardzo wysokie, często przekraczają 40°C. Dlatego zjeżdżalnie i pozostałe części musiały być wykonane z materiałów odpornych na takie temperatury. Ale dzięki temu posłużą wielu setkom dzieci przez długi czas.

Dzieciaki są zachwycone nowymi sprzętami i szybko uczą się nowych umiejętności. Ich radość trudno jest opisać, a widok zjeżdżalni dosłownie „oblepionej” dziećmi wzbudza uśmiech na każdej twarzy.

Powstał nowy budynek szkoły w Kowone w parafii Ndim w Republice Środkowoafrykańskiej



Szkoła podstawowa w Kowone działa już od kilku lat. Do tej pory miała trzy oddziały klasowe i zerówkę. Ale co roku w szkole przybywa uczniów i potrzebne były nowe pomieszczenia lekcyjne. Władze wioski i komitet rodzicielski szkoły poprosili naszego misjonarza o pomoc w budowie nowego budynku szkoły. Rodzice uczniów, mimo bardzo skromnych dochodów, zebrali składkę w wysokości 400 tys. FCFA (2500 zł) na pokrycie części wynagrodzenia dla murarzy. Komitet rodzicielski zorganizował również część materiałów budowlanych. Rodzice zgromadzili kamienie i żwir oraz wyprodukowali 10 tysięcy cegieł. Dzieci wydobywały piasek z pobliskiej rzeki i przynosiły go na teren budowy w miskach na głowach! Inwestycja została rozpoczęta w 2018 przez ówczesnego proboszcza parafii Ndim br. Roberta Wieczorka, a zakończona przed wakacjami przez br. Artura Ziarka.

Zaangażowanie misjonarzy, rodziców i dzieci było bardzo duże, wysiłek ogromny, a teraz wszystkich rozpiera dumą z ukończenia wspólnego dzieła. Dzięki temu, że rodzice i dzieci uczestniczyli w kosztach inwestycji i budowie, będą się czuli odpowiedzialni za utrzymanie i dbałość o nowy budynek. Od października dzieciaki uczą się w nowym budynku, mają nowe stołki i ławki. Mamy nadzieję, że lepsze warunki do pracy w szkole, które stworzyliśmy dzieciom w Kowone zaowocują sukcesami w nauce.

Boisko do koszykówki w Centrum Kultury w Ngaoundaye ma nową nawierzchnię



W uzasadnieniu potrzeby tego projektu brat Maciej Jabłoński napisał: „W ramach działania naszego Centrum Kultury, duży nacisk kładziemy na sport. Istnieją już dwie drużyny piłkarskie. W regularnych treningach dwa razy w tygodniu bierze udział 54 chłopaków. Rozpoczęliśmy też treningi ekipy koszykarskiej. Jednak prowadzenie zajęć sportowych na ubitej ziemi jest trudne i niebezpieczne. Nierówna nawierzchnia, po której biegają zawodnicy zwiększa ryzyko kontuzji, a gdy spadnie deszcz, gra na boisku staje się w ogóle niemożliwa”.

Nową nawierzchnię na boisku, uprządkowanie otoczenia, zakup sprzętu sportowego udało się wykonać w kwietniu i maju br., jeszcze przed wakacjami. Realizacja projektu kosztowała 6000 euro. Nowy obiekt będzie służył 30 zawodnikom drużyny koszykarskiej, jak również młodzieży i dzieciom z dziesięcioletniego miasteczka Ngaoundaye. Dziękujemy wszystkim Darczyńcom za pomoc w spełnianiu marzeń młodzieży i dzieci i umożliwienie im uprawiania sportu w bezpiecznych warunkach.

Woda już płynie ze studni wybudowanej przy katolickiej szkole w Bam w Czadzie



W maju tego roku, zaledwie po trzech miesiącach od tłustego czwartku, kiedy przyjęliśmy do realizacji ten projekt i zbieraliśmy na niego pieniądze, bratu Piotrowi Walosze udało się wywiercić kolejną studnię głębinową w Czadzie. Tym razem ze studni i czystej wody będą mogły korzystać dzieci i młodzież ucząca się w katolickiej szkole, która działa przy kapucyńskiej parafii w Bam. Ze względu na obostrzenia związane z koronawirusem, w maju nie mogło odbyć się uroczyste otwarcie i poświęcenie studni. Ceremonia została przełożona na czas po wakacjach, na początek nowego roku szkolnego. Kilka dni temu br. Piotr dokonał uroczystego otwarcia studni i uczniowie szkoły w Bam, którzy rozpoczęli w październiku kolejny rok szkolny, mogą korzystać z czystej i zdrowej wody.



Pediatria w Ngaoundaye

pisze br. Maciej Jabłoński z Ngaoundaye w Republice Środkowoafrykańskiej ●●●●●●

Na obszarze rejonu sanitarnego Ngaoundaye mieszka około 150 tysięcy mieszkańców. Do tej liczby należy doliczyć kolejne 200 tysięcy mieszkańców przygranicznych miejscowości Czadu i Kamerunu, którzy przybywają leczyć się w naszym szpitalu. Większość pacjentów to dzieci, zwłaszcza te najmniejsze, szczególnie podatne na choroby takie jak: malaria, tyfus, zapalenie płuc i oskrzeli, infekcje pasożytnicze. Nie brakuje też dzieci zakażonych wirusem HIV, gruźlicą czy odrą. W ubiegłym roku na skutek epidemii odry trwającej trzy tygodnie, w samym tylko szpitalu w Ngaoundaye umarło około stu dzieci.

Warunki leczenia w szpitalu są bardzo proste a fundusze rodziców niewielkie. W Republice Środkowoafrykańskiej za każde badanie, poradę i lekarstwo trzeba zapłacić. Stąd, bojąc się dużych jak dla nich wydatków, rodzice najpierw próbują leczyć dzieci metodami tradycyjnymi: naparami z ziół i kory rozmaitych drzew, a gdy choroba nie ustępuje i innego wyjścia już nie ma, przychodzą wtedy do szpitala aby szukać pomocy. Niestety, zbyt często, jest już za późno.



Tego chłopczyka udało się uratować w ostatniej chwili. Trafił do szpitala z potwornym bólem brzucha wywołanym

zapaleniem otrzewnej. W czasie badania okazało się, że jelito ma w dwóch miejscach przebite i treść pokarmowa wydostała się na zewnątrz powodując ciężką infekcję. Udało się nam zszyć jelito i wyczyścić otrzewną. Po podaniu leków chłopczyk pozostał w szpitalu przez 10 dni. Nic nie jadł i musiał przez ten czas pozostawać pod kroplówkami. Choroba bardzo go wycieńczyła. Jednak wszystko zakończyło się pomyślnie, choć strachu było co nie miara. Tutaj w asyście mamy, taty i rodzeństwa, opuszczając szpital – pozuje do zdjęcia.



To jest jedno z wielu dzieci, trafiających do szpitala w stanie krytycznym. Malec nie mógł oddychać, miał anemię i silną malarię. Na zdjęciu podłączony jest do aparatu tlenowego z powodu niewydolności oddechowej. Dzięki Bogu, transfuzji krwi i lekom udało się uratować tego malucha.



Niestety nie każde dziecko udaje się uratować. Ten chłopczyk został przywieziony do naszego szpitala z nowotworem w obrębie jamy brzusznej. Wcześniej szamani leczyli go ziołami. Jego stan był krytyczny. Mogliśmy mu podać tylko leki przeciwbólowe i witaminy. Tak był wycieńczony walcząc o każdy oddech, że po dwóch dniach umarł. Dziękowałem Panu Bogu za to, że powołał go szybko do siebie.

Mamy z chorymi dziećmi tłoczą się w upalnym słońcu lub w deszczu przed salą konsultacji. Niektórzy mają więcej szczęścia i oczekują na wstępną poradę na małej werandzie. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat udało się wiele zrobić by pomóc chorym dzieciom. Dzięki środkom pozyskanym od Fundacji Kapucyni i Misje, zapoczątkowaliśmy funkcjonowanie oddziału Reanimacji Dziecięcej. Mieliliśmy już ponad trzydziestu małych pacjentów, a ponad dwustu, którzy byli w bardzo



ciężkim stanie udało się uratować życie. Pieniądze posłużyły na wyposażenie sali reanimacyjnej oraz zakup leków dla maluchów. Miesięcznie na ratowanie dzieci wydajemy w szpitalu od 1000 do 1500 euro.

Kolejnym wielkim projektem, który realizujemy jest budowa nowego budynku pediatrycznego.



Pomieści on poczekalnię, salę konsultacyjną, gabinet zabiegowy (z miejscem na wykonywanie zastrzyków i opatrunków), salę obserwacyjną i intensywnego nadzoru, biuro lekarskie i przestronną salę reanimacji dziecięcej. Całe to dobro dzieje się dzięki Waszej pomocy. Życzliwość i otwartość darczyńców z Polski przekłada się na ratowanie życia dzieci i powracające uśmiechy małych rekonwalescentów. Łzy bólu, cierpienia i smutku, zamieniają się w radość i nadzieję.



br. Maciej Jabłoński



Moje spotkania z Mbororo

pisze br. Piotr Michalik OFM Cap

Misjonarze w swoich listach piszą o rzeczywistości, która ich bezpośrednio dotyczy: życie na misji, praca duszpasterska, socjalna, kulturalna, budowlana... Zgodnie z powiedzeniem "koszula bliższa ciału niż sukmana". Jednak jest to niepełny obraz życia w Afryce. Jest spora część społeczeństwa i sporo aspektów życia, z którymi misjonarze nie mają bezpośredniej styczności, a jeśli już, to sporadycznie i okazjonalnie. I w konsekwencji nie piszą o tym w swoich listach. Dlatego chciałbym teraz podzielić się z Wami jedną z takich rzeczywistości, by choć trochę dopełnić obraz społeczności w której żyjemy. Chciałbym opowiedzieć o moich spotkaniach z przedstawicielami szczególnego plemienia, które w Republice Środkowoafrykańskiej znamy pod nazwą Mbororo.

O ich pochodzeniu nie możemy powiedzieć nic pewnego. Nie są to ani typowi Afrykańczycy ani biali. Gdy się spojrzy na nich, to na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że jest to rasa pośrednia między czarną i białą. Karnację mają jak „café au lait” (kawa z mlekiem), nos wąski, bardziej europejski, włosy przeważnie kędzierzawe, jednak nie raz można spotkać pomiędzy nimi kogoś o włosach prostych. Sylwetkę mają wysmukłą, wysoką. Etnolodzy jednak dosyć jednoznacznie klasyfikują ich jako przedstawicieli ludów czarnych. Zamieszkują te kraje, w których mogą żyć krowy. Na Saharze nie mogą żyć z powodu braku i wody i traw. W puszczy tropikalnej nie mogą żyć z powodu much tse-tse, na które krowy nie są odporne. Pozostała więc im tylko strefa Sahelu – sawanny trawiastej lub drzewiastej, która znajduje się na południe od Sahary a na północ od puszczy tropikalnej. Zaczynając od Senegalu na zachodzie, powoli przesuając się na wschód, przez wieki zdobywali dla siebie kolejne połacie Sahelu, aż w końcu dotarli do terenów obecnego Czadu i Republiki Środkowoafrykańskiej. Oczywiście nie są jedynymi mieszkańcami Sahelu. Mieszkają tam plemiona zdomowane od dawien dawna. Dlatego Mbororo zawsze musieli sobie stworzyć przestrzeń życiową pomiędzy innymi ludami. Drogą pokojową albo ... wojenną.

Pojawia się jednak pytanie: skąd oni znaleźli się w Senegalu? Czy Senegal jest ich ojczyzną, czy Senegal był tylko etapem w ich wędrówce przez Afrykę? I tu nie ma zgody specjalistów, którzy zajmują się historią Peul. Jedni mówią że Senegal jest ich ojczyzną, drudzy że Etiopia jest ich kolebką, z której wyruszyli wzdłuż wybrzeża morza Śródziemnego i kierując się na zachód dotarli w końcu do Senegalu, skąd rozpoczęli wędrówkę z powrotem na wschód, jednak tym razem przez tereny Sahelu.

Jaką religię wyznają? 20 lat temu, niedaleko Bohong, istniała dość duża osada Mbororo, którzy byli luteranami. Można spotkać wśród nich chrześcijan. Jednak jest to rzadkość. Zdecydowana większość z nich wyznaje islam. Jednak jest to szczególny islam, gdyż wymieszany z wierzeniami pogańskimi. Ta pogańska strona ich życia jest tak mocna, że często inni muzułmanie nie traktują ich jako prawdziwych wyznawców islamu. Nawiasem mówiąc, islam Czarnej Afryki przez wieki charakteryzował się pokojową koegzystencją z przedstawicielami innych religii i dosyć liberalnym podejściem do wymagań Koranu. Jednak nie podobało się to wahabbitom z Arabii Saudyjskiej i od 30 lat robią oni

Może najpierw przybliżę Wam kim jest ten szczególny lud. Już sama nazwa tego ludu nastrocza trudności. Dlaczego? Otóż żyje on w wielu krajach Afryki i często w poszczególnych krajach mają swoje partykularne nazwy. Ponadto każda podgrupa tego ludu ma swoją własną nazwę. Upraszczając, możemy przyjąć następującą nomenklaturę: Peul – jest nazwą całego tego ludu, który dzieli się na dwie podgrupy. Pierwszą są Fulbe (albo Fulani), którzy z czasem przyjęli osiadły tryb życia i zajęli się kupiectwem, natomiast drugą są Mbororo, którzy prowadzą koczowniczy tryb życia i zajmują się hodowlą krów i owiec.

wszystko, by islam Afryki zaczął odpowiadać ich wyobrażeniom o byciu prawdziwym muzułmaninem. I to widać najwyraźniej w sposobie ubierania się tutejszych kobiet muzułmańskich. W latach 90-tych miały na głowie piękne, przewiewne i gustowne chusty. Teraz coraz częściej można spotkać kobiety zakapturzone w ciężkie, nieładne i odsłaniające tylko twarz „kotary”. No i co najsmutniejsze, to udało im się wyeksportować do Afryki ich terroryzm islamistyczny.

Oczywiście ich kultura i zwyczaje są jedyne w swoim rodzaju i zasługują na osobny list. Nie będę się tutaj na ich temat rozpisywał. Może innym razem.

Żyjąc w Republice Środkowoafrykańskiej nie sposób nie zauważyć Mbororo. Setki, tysiące krów, które wędrują w rytm zmieniających się sezonów to na północ, to na południe w poszukiwaniu pastwisk, a przy nich pasterze strzegący krów przed różnymi niebezpieczeństwami i wskazujący im drogę. A jak ma się szczęście, to można obserwować jak cały klan Mbororo przemieszcza się wraz z trzodą. Cały ich dobytek niesiony jest na grzbietach osłów i wybranych krów, co słabsi członkowie rodziny również, a kto jest zdolny do marszu, to asystuje krowom, owcom, osłom... Niekiedy rozbijają swoje obozowiska na obrzeżach wioski, niekiedy w głębi buszu. Często można ich spotkać na targowisku, w ośrodku zdrowia, przy studni, na drodze, na placach tańczących swe tradycyjne tańce. Niestety słyszy się też o konfliktach z rolnikami: albo krowy Mbororo weszły w szkodę, albo ktoś z wioski ukradł krowę...

Chciałbym teraz opisać kilka moich spotkań z przedstawicielami tego plemienia.

Adamou

W 2018 r. budowałem most na rzece koło malutkiej (150 mieszkańców, z tego połowa to dzieci) wioseczki Wantounou. Ludzie z tej miejscowości (z pomocą mieszkańców innych wiosek) z dużym entuzjazmem i energią zaangażowali

się w tę budowę. Konstrukcja mostu wymagała wielkiego nakładu pracy, a jednocześnie wszystkich napawała radością, również okolicznych Mbororo. Entuzjazm tych ostatnich może dziwić – przecież krowy, by przejść przez rzeczkę nie potrzebują mostu... Od samego początku budowy regularnie odwiedzał nas szpakowaty pan o imieniu Adamou. Interesował się wszystkim, mimo jego słabej znajomości języka sango jakoś się dogadywałem. Gdy wiedział, że przyjechałem na budowę to przynosił mleko od swoich krów. Pewnego razu kazał swemu bratu przyprowadzić barana by pracownicy mogli się dobrze posilić. Cały czas zapraszał mnie, by go odwiedzić w jego obozowisku. Gdy długi czas nie pojawiałem się u niego z wizytą, bo zawsze coś było do roboty na budowie, to przyprowadził swoje dzieci i żonę by mi ich przedstawić. W 2020 r. przy budowie mostu w Assana znowu się spotkaliśmy. Trochę się postarzał, pochorował, ale dalej wykazywał ten sam entuzjazm i serdeczność. Pewnego dnia wędrując przez busz przechodziłem obok jego chatki, niestety akurat był nieobecny.

Haladji

Nie pamiętam jego imienia (haladji to tytuł przysługujący muzułmanom, którzy odbyli pielgrzymkę do Mekki). Jest to dosyć dziarski dziadziunio, któremu nie wiem dlaczego przypadłem do gustu. Prawie za każdym razem jak pojawiałem się na budowie mostu w Assana to go spotykałem. W naszych rozmowach powtarzał się jeden temat – mam go odwiedzić w jego obozowisku. Ponieważ nie znał języka sango, przez nieporozumienie, czekał na mnie pewnego dnia z pieczytym z dwóch kur i nie doczekał się. Głupio się poczułem i postanowiłem tak zorganizować moje prace by znaleźć czas na wizytę u niego. Dieudonné – szef wioski Wantounou i jeszcze dwóch innych mężczyzn byli mi przewodnikami. Szybkim krokiem oddaliliśmy się od głównej drogi zanurzając się powoli w buszu, w świetle, w którym Mbororo czują się jak ryba w wodzie. Obserwowałem ten świat z zainteresowaniem. Mbororo przemieszczają się całymi klanami, a nie pojedynczymi rodzinami. Jest to zrozumiałe: względy obronne, zawodowe, towarzyskie – wszystko za tym przemawia. Wiadomo – jak dobrze mieć sąsiada, i to takiego, z którym dobrze się czło-wiek rozumie. Przy czym, nie mieszkają „na kupie”. Każda rodzina ma swoją zagrodę, tzn. kilka szałasów splecionych na szybko i ogrodzonych dookoła, pole – przeważnie kukurydzy. Sami lubią kukurydzę, a czasami w porze suchej dożywają nią swoją trzodę. Tej trzody w ciągu dnia nie widać w zagrodzie, pasie się gdzieś w buszu. Zagroda sąsiada znajduje się kilkaset metrów dalej. A potem kolejna. W ten sposób każda rodzina ma zapewnioną autonomię, a jednocześnie sąsiad nie jest za daleko by pójść pożytyć soli czy po prostu poplotkować. Oczywiście jakiś strumień niewysychający w porze suchej musi być w pobliżu, by do wody nie było za da-





leko. Idąc w gościnę przechodziliśmy przez taki strumień, gdzie dziewczynki Mbororo prały ubranka i myły naczynia. Gdy w końcu doszliśmy do zagrody naszego haladji, dano nam krzesła by usiąść i poczekać na niego. Mogłem poobserwować życie jego rodziny. Pod jedną malutką wiatą – u fryzjera damskiego – tworzyło się arcydzieło na głowie jednej z dziewcząt. A fryzury kobiet Mbororo są naprawdę wyszukane i przeważnie bardzo gustowne, ale ich tworzenie wymaga sporo czasu. W cieniu innej chatynki kobiety niespiesznie zajmowały się swoimi zajęciami. Szybko zorientowałem się, że one dyskretnie śledzą moje ruchy. Żadnego mężczyzny poza nami nie było w zagrodzie. Wiedząc, że u Mbororo życie mężczyzn jest wyraźnie odseparowane od życia kobiet, nie odważyłem się podejść do tych kobiet by je pozdrowić i porozmawiać. Po pewnym czasie ktoś nas poinformował, że nasz gospodarz jest u sąsiadów i tam należy się udać.

Po kilkuset dodatkowych metrach doszliśmy do kolejnej zagrody. Tu już było więcej osób: kobiety przy różnych swoich zajęciach, dzieci szwędające się tu to tam i grupka starszych. W cieniu drzew, przy chatynce, przy której zebrał się starszowie, sadowimy się na krzesłach i czekamy. Mojego haladji'ego nie było – wyszedł do buszu. Za dużo nie mogliśmy porozmawiać, bo nasi gospodarze nie znali języka sango. Za to mogłem spokojnie obserwować ich życie. Widać było, że starsi panowie znają się dobrze ze sobą, są braćmi lub bliskimi kuzynami. W tempie właściwym dla ich wieku od czasu do czasu coś do siebie powiedzieli, przenosili się



z jednego końca maty na drugi czy wykonywali jakąś ważną dla nich czynność. Ponieważ zbliżała się pora ich modlitw, każdy z nich powoli, w swoim czasie i w swoim tempie obmywał stopy i ręce, następnie klękał na tej samej macie, na której wcześniej siedział i zwracając się w kierunku Mekki, modlił się bez pośpiechu, recytując formułki znane na pamięć. Następnie jeden z nich – najbardziej sprawny fizycznie



albo najbardziej zatroskany o gości – zaczął przygotowywać herbatę dla nas. Na małym ogniu postawił niemilosiernie okopcony imbryk. Ruchy miał powolne ale pewne, wyuczone przez praktykę trwającą już dziesiątki lat. Starannie (jak na tutejszy standard) wymył naczynia, precyzyjnie odmierzył porcję herbaty i cukru, uważnie kontrolował temperaturę mikstury i na koniec sprawnie rozlał ją do kubków. Ja oczywiście otrzymałem największy i najbardziej elegancki kubek. Przyniesiono nam jeszcze mleko by domieszać je do herbaty. Oczywiście przed podaniem mleka gospodarz sam go spróbował by pokazać, że żadnej trucizny w nim nie ma...

I właśnie w tym momencie z buszu wyłoniła się sylwetka powracającego do osady mojego haladji'ego. Na ile bariera językowa nam pozwoliła to pogadaliśmy sobie i pośmialiśmy się. Bardzo nastawał bym przenocować tę noc u nich, ale mój harmonogram już był zapełniony różnymi pilnymi zajęciami. Ponadto zadawałem sobie pytanie: czy bez mego polowego łóżka wyspałbym się w buszu w stopniu dostatecznym? Po podziękowaniach i pożegnaniach trzeba było wyruszyć w drogę powrotną, gdyż słońce powoli zbliżało się ku zachodowi.

Habiba

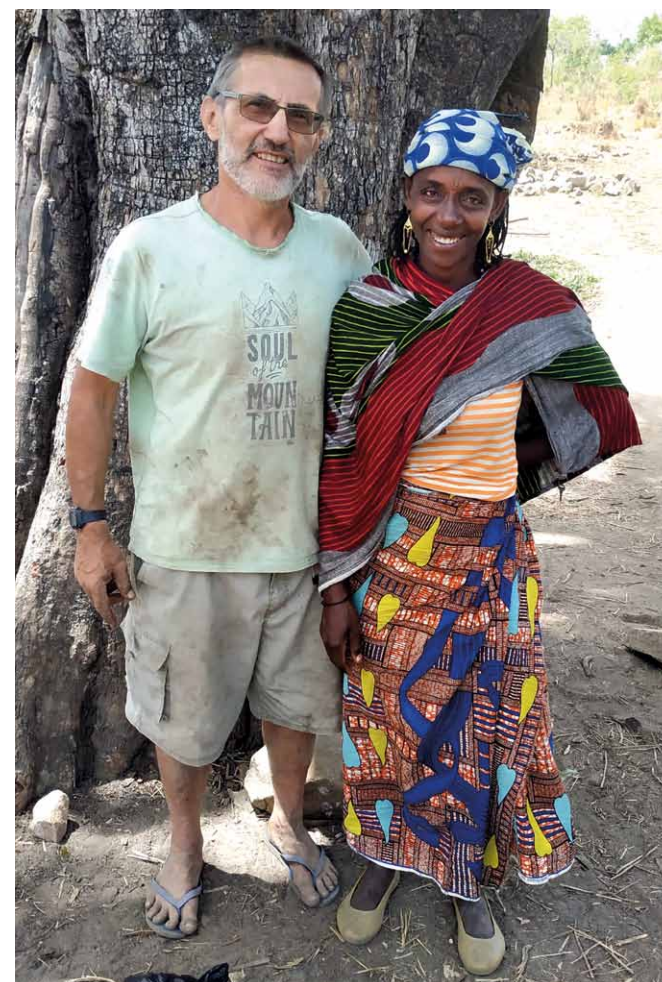
To była nietypowa kobieta z plemienia Mbororo. Wcześniej sprzedawała pączki w Bozoum, dlatego doskonale władała językiem sango. Mimo, że była kobietą w średnim wieku, była ciągle piękna. A funkcjonuje tu taki stereotyp: nastolatki z tego plemienia są bardzo piękne, ale następnie szybko starzeją się i oczywiście piękno cały czas jest, ale już inne... Habiba była zaprzeczeniem tego stereotypu.

Poznałem ją w Ndim. Co roku, w październiku przyjeżdżała ze swej miejscowości, gdzieś koło Sanguere Lim, by sprzedać ziemniaki. Niewiele osób w RŚA uprawia kartofle. Widać wyspecjalizowała się w tym, miała duże pole, a po-

nieważ tutejsze menu nie bazuje na ziemniaku, więc nie jest łatwo je sprzedać. A my na misji, gdzie było trzech Polaków, zawsze z otwartymi rękami przyjmowaliśmy każdą (bez przesady jednak) ilość tych bulw. Dlatego jak Habiba przyjeżdżała do Ndim, zawsze pierwsze kroki kierowała do nas. A ponieważ była sympatyczna, to po ubiciu targu, siadaliśmy na werandzie kuchni: Habiba, ja i pani Marysia – nasza afrykańska kucharka i jeszcze długo rozmawialiśmy. A że Habibie usta się nie zamykały, więc często po prostu zamieniałem się w słuch. Po pewnym czasie pozostawiałem ją i panią Marysię by poplotkowały o typowo kobiecych sprawach, a sam wracałem do moich zajęć. Mimo, że minęło już prawie 20 lat od tamtych czasów, zawsze miło wracam do tych wspomnień.

Hapsi

Na początku bieżącego roku, na terenie budowy mostu w Assana szybko powstała mała jadłodajnia „pod chmurką”. Przychodziły tam różne kobiety i sprzedawały robotnikom gotowaną fasolkę, ryż, pączki, słodkie ziemniaki, poto-pot (coś pośredniego między płatkami owsianymi a zupą mleczną). Moją uwagę przykuła jedna kobieta z plemienia Mbororo, ponieważ sprzedawała smaczne ciasteczka. Miała na imię Hapsi. Nasza znajomość była jednak utrudniona przez brak wspólnego języka. Ona nie знаła sango, a ja nie znałem



języka fulbe (którym posługują się Mbororo). Jednak jakoś się dogadywaliśmy: czasem z pomocą tłumaczy, czasem bez nich. Żyła samotnie (mąż zmarł a może ją opuścił). Żyła ze swoim klanem, który jakoś ją wspomagał materialnie. Jednak musiała bardzo się starać, żeby zaspokoić swoje potrzeby. Stąd ten handel ciasteczkami. Kiedyś na jej prośbę dałem jej plandekę by przykryła nią dach domu. Była tak wdzięczna, że nawet gotowa była jechać ze mną do Polski. Trudno Mbororo wytłumaczyć celibat, ślub czystości – coś takiego w ich kulturze nie istnieje. Jak wyjeżdżałem z RŚA, również i ona podarowała mi kurę. Niech Pan jej błogosławi.

Abiba

Gdy jeździłem do budowy mostu w Assana, regularnie spotykałem się z jednym Mbororo, który za każdym razem mówił mi o swojej córeczce, która miała dużą, nieogojoną ranę na nodze. Była to sześciolatnia Abiba. Pewnego razu spotkałem ją osobiście. Rzeczywiście miała dużą, otwartą do kości ranę. Mówiłem ojcu, że dziewczynka pod opieką matki musi pojechać do szpitala w Ngaoundaye. Ich pobyt może być długi, bo rana musi się zasklepić. Umawialiśmy się, że w drodze powrotnej na misję zawiozę je samochodem do szpitala. On jednak nie chciał ich wysłać do Ngaoundaye. Może miał w głowie ideę, że na miejscu poda się jakieś lekarstwa i sprawa będzie załatwiona? Może nie chciał by żona oddaliła się od niego na tak długo? Może bał się o ich bezpieczeństwo? Nie wiem. Efekt był taki, że kilkakrotnie umawialiśmy się na podróż i za każdym razem nikt na mnie nie czekał... Pewnego dnia dowiedziałem się że pojechał z Abibą do miejscowości de Gaulle do „maloum” – czarownika mużulańskiego, by on ją uleczył. Zdenerwowałem się, ale cóż mogłem zrobić. Tylko Abiby było mi szkoda...

Gdy kolejny raz przyjechałem do Assana, od razu ktoś mnie poinformował, że ojciec z Abibą już są z powrotem w wiosce i chcą jechać do szpitala do Ngaoundaye. Acha, „maloum” nic nie pomógł – pomyślałem, i oczywiście zabrałem ich w podróż do szpitala. Ponieważ samochód był pełen różnych materiałów budowlanych, wiozłem też innych chorych do szpitala, Abiba z mamą siadły na pace z tyłu auta. Zabrały ze sobą skromny dobytek: garnek, kilka ciuszków, trochę jedzenia. Początkowo Abiba była trochę przestraszona czy onieśmielona, jednak w miarę przebytych kilometrów coraz częściej uśmiech gościł na jej twarzy. Podczas pobytu w szpitalu, pod czujnym okiem br. Macieja Jabłońskiego rana zaczęła się regularnie zmniejszać a sama Abiba stała się radosnym skowronkiem. Po miesięcznym pobycie w Ngaoundaye mogła wrócić do rodziny z raną na nodze całkowicie zaleconą.

To są moje spotkania z przedstawicielami plemienia Mbororo, które najbardziej wyryły się w mojej pamięci i moim sercu. Było ich więcej, choć oczywiście nie wszystkie takie piękne. Ale nie raz myślałem sobie: jednego Mbororo brakuje – poznania Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. Oby kiedyś do tego doszło.

Z braterskim pozdrowieniem

br. Piotr Michalik



Brat zakonny na misjach

pisze br. Jacek Dębski OFM Cap

Wiele razy w żartach mówiono, że nie jestem prawdziwym misjonarzem. Jestem misjonarzem na „pół gwizdka”. Misje i praca misjonarza kojarzą się zawsze z Mszami świętymi odprawianymi w buszu, nauczaniem katechistów i ludzi w wioskach, prowadzeniem duszpasterstwa oraz z budowaniem kaplic, szkół i mostów itp. A ja nie jestem kapłanem, jestem bratem zakonnym, w zakonnie kapucynów od 36 lat. Pojechałem na misje do Afryki mając 39 lat. W Republice Środkowoafrykańskiej spędziłem 17 lat. Trzeba tu zaznaczyć, że wcześniej, przed wyjazdem na misje przez siedem lat pracowałem w Kurii Generalnej Braci Kapucynów w Rzymie jako kucharz oraz jako sekretarz Ojca Raniero Cantalamesy. W tym czasie miałem też możliwość odbycia dwuletnich studiów franciszkańskich. Ukończyłem kurs bibliotekarza na Watykanie i kurs dóbr kultury kościelnej na Uniwersytecie Gregoriańskim.



Co brat zakonny, bez święceń kapłańskich, może robić na misjach? Możliwości są spore. Na misje nie wyjeżdżają wyłącznie kapłani, choć posługa sakramentalna i duszpasterska jest w krajach misyjnych najbardziej potrzebna. Jest wiele prac na misjach, które mogą wykonywać bracia zakonnicy lub ludzie świeccy. Przez lata mojej posługi spotkałem wiele wolontariuszek i wolontariuszy, którzy pracowali dla misji, dla lokalnych społeczności wykorzystując swoje przeróżne talenty. Spotykałem lekarki, pielęgniarki, nauczycielki, elektryków, pracowników budowlanych i wielu innych ludzi, którzy mogli pewien czas swojego życia poświęcić pomocy lu-

dziom potrzebującym w Afryce. Nie wszyscy mieli konkretne zawody, jednymi z kryteriów pozwalających wyjechać były: dobre zdrowie i biegła znajomość języka francuskiego.

Zaraz na początku mojej drogi misyjnej zostałem przydzielony do najliczniejszej Wspólnoty św. Wawrzyńca w Bouar, gdzie jest siedziba władz zakonnych i gdzie w seminarium klerycy odbywają studia teologiczno-filozoficzne. Byłem tam ekonomem domu oraz pracowałem jako bibliotekarz i wykładowca duchowości franciszkańskiej. Zajmowałem się finansową stroną życia: opłacaniem rachunków, zatrudnianiem pracowników, robieniem zakupów, zajmowałem się remontami, konserwacją budynków i pomieszczeń klasztornych. Po czterech latach zostałem mianowany ekonomem całej Kustodii Czadu i RŚA oraz gwardianem kurii. Obowiązków mi znacznie przybyło. Moja praca polegała na prowadzeniu finansów całej prowincji – kustodii Czadu i RŚA. Przez trzynaście kolejnych lat robiłem sprawozdania finansowe dla władz, dla Kurii Generalnej w Rzymie, bilanse wspólnot braterskich i sprawozdania dla sekretariatów misyjnych poszczególnych krajów. Dla kogoś, kto nigdy nie robił sprawozdań i bilansów, nie było to łatwe zadanie. Wszystkiego musiałem się nauczyć. Muszę zaznaczyć, że sekretariaty misyjne (we Włoszech, Kanadzie, Francji, Polsce) zawsze uważnie przyglądały się rozliczeniom. Jest bowiem bardzo ważne aby nasi ofiarodawcy ze wszystkich krajów wiedzieli jak ich ofiary są wydawane.

Na konto kustodii wpływają pieniądze dla misjonarzy przeznaczone na wszystkie projekty: budowę i utrzymanie szkół, na ośrodki zdrowia, apteki w buszu, budowę kaplic, studni oraz świetlic przy parafiach, utrzymanie wspólnot braterskich czy zakup samochodów. Każdy z braci misjonarzy prowadzi wiele projektów pomocowych. Bo oprócz pracy ewangelizacyjnej i duszpasterskiej, widząc biedę i potrzeby ludzi, wśród których głoszą Dobrą Nowinę, starają się poprawić warunki ich życia. Stąd tak wiele dzieł polegających na budowie studni w wioskach, budowie szkół i kaplic. W Środkowej Afryce, tak jak w Polsce „miłość miłosierna” do bliźniego wyraża się w pomocy Caritas. Kapucyni z Polski budują skromne domy dla ubogich – samotnych matek, wdów z dziećmi, osamotnionych starszych czy niepełnosprawnych. W ubiegłych latach na terenie parafii Bocaranga br. Robertowi Wnukowi udało się wybudować ponad 200 takich domów. W każdej naszej parafii funkcjonuje ośrodek Caritas, gdzie ubodzy mogą otrzymać doraźną pomoc: trochę jedzenia (garść mąki, olej), lekarstwa czy odzież. Posługują tam osoby świeckie, które dobrze znają sytuację przychodzących po pomoc ludzi. Takie miejsca przy parafiach są ratunkiem dla potrzebujących.

Jak wszystkie możliwości już zawiodą, to w punkcie Caritas na pewno znajdą pomoc. Działalność takich punktów jest oczywiście finansowana przez misjonarzy, bo w Republice Środkowoafrykańskiej nie istnieje żadna oficjalna pomoc społeczna. Ubodzy, chorzy, niepełnosprawni są przez państwo zupełnie opuszczeni, pozostawieni na łasce rodziny, sąsiadów, parafii. Moi współbracia często angażowali się też w pomoc niedożywionym dzieciom. Od wielu lat w parafiach Ndim, Ngaoundaye i Bocaranga finansowaliśmy posiłki dla dzieci wydawane im w szkołach. Czytałem takie szacunki, że ponad połowa śmierci wśród afrykańskich dzieci spowodowana jest niedożywieniem. Dzieci nie jedzą wartościowych posiłków i przede wszystkim nie jedzą regularnie. Często, zwłaszcza w wioskach mogłem zobaczyć słabe, opuchnięte z głodu dzieci, leżące przed domami na matach. Niedożywienie, zbyt mało białka, niedobór witamin i składników mineralnych powoduje większą podatność na choroby. Dlatego maluchy tak często umierają. Do szpitala prowadzonego przez br. Maćka Jabłońskiego w Ngaoundaye bardzo często trafiają dzieci z tak głęboką anemią, że tylko transfuzja krwi może uratować ich życie. A malaria, powszechna w Afryce choroba, tak często właśnie wśród dzieci zbiera swe śmiertelne żniwo. Misjonarze pomagają prowadzić szpitale, kupują lekarstwa, organizują sprzęt na wyposażenie. W wielu ośrodkach zdrowia w wioskach nie ma nawet lodówki, w której personel mógłby trzymać szczepionki czy inne leki wymagające niższej temperatury. Przez ponad pół roku temperatury powietrza w RŚA przekraczają 30 stopni C, dlatego lodówki do przechowywania szczepionek są nadal bardzo pożądanym sprzętem. Misjonarze kapucyni z Polski w tym roku świętują 35-cio lecie obecności i pracy ewangelizacyjnej na terenie Republiki Środkowoafrykańskiej. Przez ostatnie 17 lat uczestniczyłem w tym wielkim dziele. Pomałem równocześnie w finansowaniu wszystkich prowadzonych przez Polaków projektów, które realizowali na terenie RŚA i Czadu.



Byłem też, z racji wykształcenia, bibliotekarzem kustodii. Skatalogowałem całą bibliotekę i zamieściłem spis książek w internecie, tak, że można prowadzić konsultację on-line. Zajmowałem się również regularnie pracą dydaktyczną. Przez cztery lata udzielałem lekcji etyki w technikum dla

dziewcząt w Maigaro. Przez ostatnie lata, w każdą sobotę prowadziłem wykłady z duchowości franciszkańskiej oraz historii sztuki sakralnej dla braci studentów naszego seminarium.



Najwięcej jednak stresu i wysiłku kosztowało mnie przyjmowanie transportów kontenerowych, które dla naszych wspólnot braterskich w Afryce przyływały z Włoch i Polski. Sprowadzanie kontenerów, rozładunek oraz dystrybucja towarów do poszczególnych domów zajmowała mi wiele czasu. Kontenery przyływały do portu w Kamerunie, skąd ciężarówkami trzeba je było przewieźć na granicę z Republiką Środkowoafrykańską i dalej do Bouar, stolicy Kustodii – dystans ponad 1500 km. Zarówno w porcie przy przyjęciu kontenerów jak i na granicy – wszystkie formalności, sprawdzanie dokumentów, pieczęci i opłacenie cła trwało zawsze kilka dni. Zarówno w porcie w Kamerunie, na granicy z RŚA, czy na tzw. „barierach” – punktach kontrolnych na drogach urzędnicy nie byli wolni od pokusy korupcji. Niestety niemal na wszystkich szczeblach władzy mogłem zauważyć wykorzystywanie stanowisk do osiągania nienależnych urzędnikom korzyści finansowych lub rzeczowych. Niestety korupcja jest chorobą, która trawi kraje afrykańskie. Pamiętam jak Papież kończąc swoją pielgrzymkę do Angoli i Kamerunu wzywał przywódców państw afrykańskich, aby walczyli z ubóstwem i korupcją: „Wiele krajów afrykańskich, to kraje bogate w zasoby naturalne. Jednak większość obywateli tych krajów żyje w ubóstwie. Komentatorzy są zdania, że zasoby te są wykorzystywane przez urzędników państwowych do ich własnego bogacenia się. Przeznaczeniem dochodów uzyskiwanych ze sprzedaży posiadanych zasobów naturalnych, powinna być poprawa jakości życia ludzi”. Niestety nie wydaje mi się, aby rządzący przejęli się słowami Papieża.

Moim hobby jest praca w kuchni, ogrodzie i hodowla drobiu. Mimo licznych zajęć w moim afrykańskim ogródku nigdy nie brakowało ogórków, pomidorów i sałaty. Bracia chętnie wpadali do kurii na ogórki małosolne, na dobrą jajecznicę ze świeżych jajek, a na uroczystości czy święta zawsze była na stole kaczka w pomarańczach.

Mój dzień zaczynał się bardzo wcześnie. Najpierw sprzątałem i przygotowywałem kaplicę, później była godzina rozmyślań, jutrznia oraz Msza święta. Po Mszy świętej jedli-



śmy śniadanie a potem chwilę zajmowałem się zwierzętami: kaczkami i kurami. Miałem też kilka psów, kotów i żółwi do towarzystwa. Następnie szedłem do biura załatwiać rozliczne sprawy, jechałem do banku, niekiedy kilka razy dziennie. Często zdarzało się, że w banku nie było gotówki i trzeba było ponawiać wizyty żeby w końcu wypłacić pieniądze z konta.

Od trzech lat, od momentu tragicznego w skutkach ataku rebeliantów seleka na Bocaranga, codziennie w miejscowym radiu Siriri (Pokój) animowałem różaniec w intencji pokoju w Republice. Siriri to radio prowadzone przez diecezję



Bouar, jedną z największych diecezji w RŚA. Audycje radiowe kierowane są do wszystkich mieszkańców, bez względu na poglądy czy wiarę. Radia można słuchać codziennie od 8:00 do 12:00 oraz od 17:00 do 21:00. A ponieważ w co drugim domu jest odbiornik radiowy i nie ma żadnych innych mediów: telewizji, gazet, to ludzie słuchają przekazu przez cały czas. Jest to najlepszy sposób dotarcia z Ewangelią, nauką społeczną i katechezą do ludzi. Radio odegrało też znaczącą rolę podczas ostatniej rebelii. Przez cały czas nadało komunikaty dla ludności, ostrzegając przed zbliżającymi się oddziałami rebeliantów, doradzając co zrobić w trudnych i niebezpiecznych sytuacjach i niosło nadzieję na pokój. Podczas tej rebelii przeżyłem też trudne, pełne lęku chwile. Na duchu podtrzymywał mnie wtedy różaniec. Po wtargnięciu wojsk rebelianckich do RŚA, na całym ogromnym obszarze aż do samej granicy z Czadem ci bandyci siali zniszczenie i śmierć. Cywile skryli się w buszu, wioski opustoszały i stały się łatwym łupem bandytów. Nasze misje w Bocaranga i Ngaoundaye zostały ograbione przez rebeliantów z pieniędzy i jedzenia. Bracia jednak nie chcieli się ewakuować, pozostali na miejscu dając świadectwo ludziom, że nie opuszczają ich w takiej potrzebie. A ponieważ misjonarze w ogóle nie mieli co jeść, to wraz z kustoszem Sergem postanowiliśmy pojechać aby dostarczyć im trochę prowiantu. Bardzo się wtedy bałem. Przez całą drogę, ponad 200 km nie widzieliśmy „żywej duszy”. Tylko wymarłe,

opuszczone i spalone wioski. Na drodze w każdej chwili mogliśmy spotkać rebeliantów, a takie spotkanie w najlepszym wypadku zakończyłoby się odebraniem nam samochodu i tego co wieźliśmy. Ile ja wtenczas odmówiłem różańców! W Bocaranga zastaliśmy ostrzelaną misję i kilku zabitych ludzi z wioski, którzy myśleli, że na misji będzie bezpieczniej niż w buszu. Nasi bracia misjonarze ocalili. W następnej misji Ngaoundaye, przy granicy z Czadem bracia też przeżyli chwilę grozy. Na moment przed atakiem rebeliantów udało im się uciec i schronić w buszu. Brat Benedykt opowiadał, jak razem z Francesco, 80-cio letnim kapucynem z pochodzenia Włochem, skakali przez płot otaczający misję by ukryć się w zaroślach, a bandyckie kule przelatywały im koło głowy. Ponieważ sytuacja wtedy była bardzo niepewna, nauczani doświadczeniem z poprzednich wojen, postanowiliśmy przewieźć nasze samochody do Kamerunu i przechować je u sióstr, żeby nie padły łupem rebeliantów. Zebraliśmy wszystkie samochody misyjne tworząc konwój 25 aut. Na granicy, gdzie dłużej niż zwykle trwały różne formalności, zaczęli się zbierać ludzie, mimo lęku opuścili schronienia w buszu i z lamentem zaczęli nas błagać, żebyśmy ich nie porzucali! Widząc samochody misyjne przejeżdżające przez granicę, myśleli, że misjonarze również, w ślad za białymi z różnych organizacji uciekają z RŚA. Bardzo nam dziękowali, gdy sytuacja się wyjaśniła i zobaczyli, że misjonarze pozostają z nimi nawet w czasie wojny.

Na naszej misji w Bouar schroniło się wtedy ponad 11 tysięcy ludzi, tworząc ogromny obóz dla uchodźców. Niektórzy byli ranni, chorzy a wszyscy głodni. Tylko dzięki Opatrzności Bożej przetrwaliśmy ten trudny czas. Po okresie bezpośredniego zagrożenia przyszedł czas trudnych dni, nowych wyzwań, opieki nad chroniącymi się u nas ludźmi. Ale pamiętam też z tamtych dni zabawny epizod. Pod oknem mojego biura, gdzie było małe zadaszanie, znalazła schronienie dość liczna rodzina: mama, tata i jak dobrze policzyłem siedmioro dzieci. Najmłodsze dziecko, chłopczyk – dwulatek, bardzo ruchliwy, cały czas gdzieś próbował uciekać. Niewiele starsze rodzeństwo nie mogło go upilnować. Mama w desperacji wpadła na pomysł aby chłopaczka przywiązać za nogę do swojej nogi i w ten sposób ograniczyć jego eskapady. Oczywiście nie spodobało się to chłopcu, który głośno płacząc, protestował przeciw takim metodom wychowywania go.

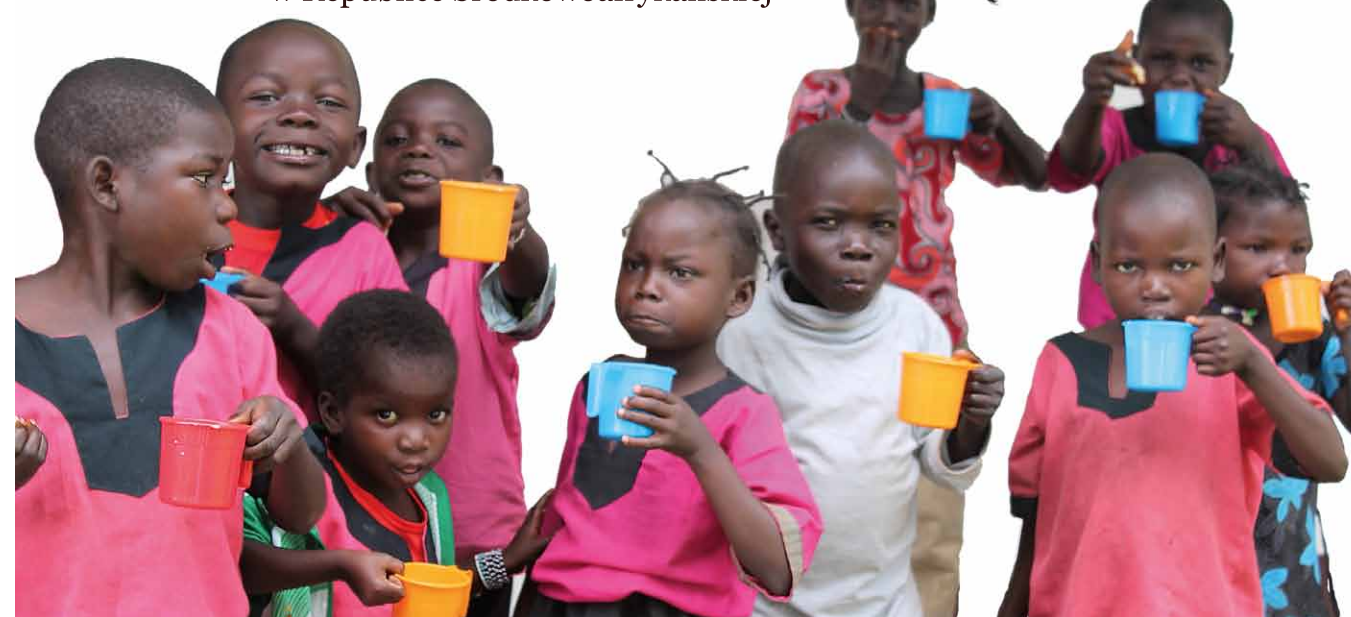
Afryka jest urzekająca. Ludzie, ich kultura, krajobrazy zapadły mi głęboko w serce. Po miesiącu od powrotu do Polski, jak mam być szczery, to już tęsknię do Czarnego Lądu. Nie wiem co będę przeżywał dalej? Brak mi krajobrazu afrykańskiego: wielkich przestrzeni bez zabudowań, bez słupów elektrycznych, bez autostrad. I to wspaniałe nocne niebo, cały nieboskłon widoczny jak na dłoni, gwiazdy na wyciągnięcie ręki. Drogi Mlecznej widzianej z Bouar nie da się zapomnieć! Brak mi życzliwych i uśmiechniętych Afrykańczyków, ludzi którzy pomimo biedy, chorób i wojny potrafią cieszyć się tym co mają!

Kupując kawę pomagasz dzieciom w Afryce

ZAPRASZAMY do sklepu: www.sklep.kapucyni.pl

tel. 12 623 60 50 wew.132

Każdy, kto kupi paczkę kawy Cardinale Massaia funduje posiłki dla osieroconych dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej



Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi na kontynencie afrykańskim w Republice Środkowoafrykańskiej i Republice Czadu.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom potrzebującym w krajach afrykańskich, w których pracują misjonarze z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz
Nakład: 5500 egz.

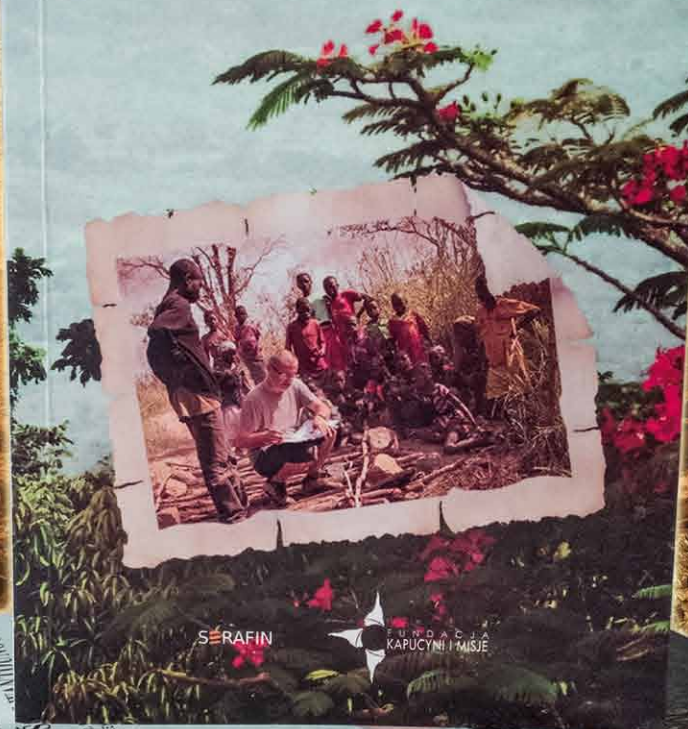
Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65



WSZYSCY TAŃCZA NA MOŚCIE WANTOUNOU

Z BR. PIOTREM MICHALIKIEM OFMCAP
MISJONARZEM W REPUBLICE ŚRODKOWOAFRYKAŃSKIEJ
ROZMAWIA ANDRZEJ KERNER



WSZYSCY TAŃCZA
NA MOŚCIE WANTOUNOU

Z BR. PIOTREM MICHALIKIEM OFMCAP
ROZMAWIA ANDRZEJ KERNER

Nakładem Fundacji Kapucyni i Misje ukazała się książka pod tytułem: „Wszyscy tańczą na moście Wantounou” – wywiad dziennikarza „Gościa Niedzielnego” Andrzeja Knera z misjonarzem br. Piotrem Michałikiem.

Br. Piotr zechciał się podzielić z nami swoim bogatym doświadczeniem misyjnym - życia i pracy pośród plemion Gbaya, Pana, Mbororo i innych, zamieszkujących teren Republiki Środkowoafrykańskiej: „....Przyjeżdżając na misje, musiałem nauczyć się rozumieć ludzi w Afryce. Ich inny sposób myślenia i inny sposób życia. Musimy budować porozumienie między ludźmi, mając na uwadze bolesną historię Afryki. Misjonarz musi być człowiekiem modlitwy, bo tylko w niej znajdzie siłę do tego, co ma robić”.

Dzięki opowieściom br. Piotra i fragmentom jego listów poznajemy nie tylko codzienne życie Afrykańczyków, ich troski i radości, lecz także i jego samego. Daje się z niej wyczytać jego przyjazny stosunek do człowieka, przyrody i świata, a nade wszystko wielką miłość do Boga. Prostym życiem, pokorną pracą i służbą br. Piotr potwierdza, że zasługuje na miano prawdziwego syna św. Franciszka z Asyżu.

Książka do nabycia w sklepie internetowym

sklep.kapucyni.pl

Cena: 35 zł + koszt wysyłki

Zamówienia telefoniczne pod nr:

668 532 250 lub 12 623 50 60 wew. 132

